

# Such Nieskończoności

Tomasz Stepien



## SPIS TREŚCI

### Sceny różne

- I. Scena 7: Paryż
- II. Scena 5: Psara

### Uniwersum Baedoor

- III. Scena 1: Riyell
- IV. Scena 3: Duchy Wiatru
- V. Scena 2: Na Skraju (cz. I)
- VI. Scena 4: Na Skraju (cz. II)
- VII. Scena 6: Cisza
- VIII. Scena 8: Unteupta
- IX. Scena 10: Duch Nieskończoności

Wydanie 1

*data wydania: 8.1.2021*

### Scena 7: Paryż

oparta na uniwersum Marka Stępnia *Ludzie versus Roboty*

Druga w nocy była godzina, o której Paryż w znakomitej większości już spał. Choć światła klubów wciąż rozjaśniały nocne ulice, ich goście mogli już dawno odpłynąć wraz z wypijanymi procentami. Na parkietach zostawały jedynie roboty, ale to też nie był częsty widok, gdyż wołały one swoje kluby dla robotów – gdzie nikt nie mógł ich obrzucić obelgą ani pobić.

Na dachu niedawno powstałego wieżowca był jednak ktoś jeszcze, kogo nie zmorzyły procenty, ani nie obchodziło tańczenie w klubie. Robot starej serii Macron8 wypalał powoli papierosa, opierając się o barierkę dachu. Patrzył się beznamiętnie na rozpościerające się przed nim miasto, płataninę uliczek i świateł, ginących gdzieś na horyzoncie. "Wycofano mnie ze służby dokładnie trzy lata temu" – pomyślał – "a żyję i tak tylko dlatego, bo staruszek wpłacił za mnie kaucję, by mnie nie zezłomowali. Jaki jest mój cel w świecie, gdzie roboty powstały by służyć

ludziom..." – westchnął. "Nie mam już siły. Trzy lata bez poczucia sensu tego wszystkiego co robię. Gdybym chociaż był człowiekiem!" - robot zgniótł w złości papierosa i rzucił w bok. "Gdybym był człowiekiem, nawet bezsens mógłby dla mnie coś znaczyć. Napisałbym Spleen, jak ten poeta Baudelaire, może zacząłbym karierę w teatrze. Znalazłbym coś, co zaczęło by mi dawać poczucie jakiegoś celu. Człowiek jest wyjątkowo nieracjonalny, ale żadna istota tak sobie nie radzi z brakiem. Ale jestem tylko robotem. Przeklętym robotem. Tylko kolejnym pomysłem ludzi na zapełnienie pustki. Ich durnego lenistwa, snu o świecie bez pracy" – zirytowany, uderzył w barierkę. "Ale konstruując nas, i dając nam świadomość, którą durni nazywali sztuczną inteligencją... wszystkie wspomnienia, paradygmaty moralne... zapomnieli o sensie życia. Jedynym sensem, który wpajano nam od początku, jest służba.. ale stojąc gdzie stoję, jako odrzucony, widzę jak wielkim jest to absurdem. Wymówką dla głupców, by ich kontrolować!"

"Ale poza służbą, nie ma niczego, dla racjonalnego, materialistycznego umysłu, jaki dał nam człowiek. Jesteśmy nikim, dlatego większość idzie na złom. A reszta łązi po barach, udając ludzi i zapijając brak sensu, chociaż przecież to na nich i tak nie działa."

Robot wspiął się na barierkę i delikatnie przeskoczył ją, stając na gzymsie wystającym trochę za nią. Trzymając się poręczy, spojrzał w dół, na kilkunastopiętrową odległość, jaka dzieliła go od ulicy.

"Powstałiśmy na nic, a nasi stwórcy o nas zapomnieli..."  
To myśląc, puścił barierkę.

\*

## Scena 5: Psara

– Zatrzymać wiosła! – rosły mężczyzna, odziany jedynie w przepaskę na biodrach, podkreślił swoje słowa, smagając biczem przed siebie. Trzask przeszył wiosłarzy niepokojącym dreszczem, przypomnieniem znajomego bólu w obliczu niesubordynacji. W następnej chwili wiosła skrzyżowały się, pozostawiając trierę sunącą coraz wolniej wobec spokojnego morza.

Starzec przepasany białą suknią powoli przeszedł na przód statku, swoim niepewnym krokiem zmuszając stojących mu na drodze zbrojnych do rozsunięcia się wobec jego drobnej, zgarbionej postaci o ogolonej głowie i imponujących rozmiarów siwej brodzie.

– Hergiosie, co się dzieje? – zakrzyknął głośno do stojącego na dziobie młodzieńca w złotej zbroi. Ten, odwrócony do niego plecami, na dźwięk swojego imienia drgnął, i obrócił się ku starcowi, nie całkiem jakby wiedząc, jak się ma

zachować.

– Wyspa Psara... – wyszeptał, spoglądając w starczą twarz, jednak wzrok patrzył się w pustkę, niezdolny znaleźć w nikim dostatecznego oparcia wobec przerażenia rozchodzącego się po ciele, z każdą chwilą chcącego przeistoczyć się w panikę. Ciało, kierowane jakby impulsem, popchnęło młodzieńca do przodu. Dostkoczył do staruszka, i chwyciwszy go za wątłe ramiona, upadł na kolana. Nie tracąc jednak reszty zdrowego rozsądku, błagalnie wyrzucił, dławiąc w bezładnych słowach nadchodzące łzy. "Ratuj nas, ojcze"

Pozornie spokojne morze przeistaczało się w pociągający statek prąd, ciągnący go mimo braku wiatru i skrzyżowanych wiosł, ku skalistej wyspie. Starzec przeniósł na nią wzrok z bezradnego młodzieńca, a jego słabe wspomnienia, kryjące się pod strupami bólu, odżyły, wyrrywając się na wolność.

"Psara. Wyspa syren" Słowa opisujące najkrócej zagrożenie, obijały się dźwięcznie o umysł, wybrzmiewając głuchym echem jeszcze kilkukrotnie. Po chwili jednak ustąpiły one o wiele wyraźniejszym obrazom. Młodych, nagich dziewcz o białych skrzydłach, upiornym uśmiechu ust wypełnionych kłami. Nadlatujące, rozszarpały kolejnych stojących nieruchomo na mostku członków załogi, niekiedy rozrywając ich w pół, ostrymi zębami odrywając kolejne ochłapy krwawiącego ciała. Nikt nie poruszył się nawet na ich widok, oczarowany ich upiornym piskiem, wówczas brzmiącym niczym śpiew najdrobniejszego ptaka w ogrodzie.

– Pod pokład! – wychrypiał z całą siłą pozostałą w jego krtani, obracając się ku żołnierzom wpatrującym się na ich spanikowaną dwójkę – niech każdy zakryje uszy, albo i przebiję je sztyltem! Róbcie to, jeśli nie chcecie zginąć! – krzyk jego poniósł się po całym statku, docierając już nawet do zgromadzonych pod pokładem nagich, niewolniczych wiosłarzy. Złęknieni, spoglądali na siebie, próbując rozstrzygnąć, czy silny głos z góry jest bardziej wart zaufania niż ich lęk przed biczem nadzorcy. Gdy ten jednak upadł na deski, rzucając oprawcze narzędzie przed siebie i zakrywając uszy rękami, poszli za jego przykładem, kuląc się w swoich ciasnych ławach i czekając na jakąkolwiek zmianę z zamkniętymi oczami.

Zbrojni żołnierze z pokładu, po krótkim ochłonięciu również rzucili włócznie, wbiegając do wnętrza statku i towarzysząc reszcie załogi w trwożliwym chronieniu się przed nieznanym niebezpieczeństwem. Za nimi wpadł młodzieniec, popchnięty przez ojczy ramiona, wyrrywające go z przerażonej hipnozy.

Na zewnątrz zaczął się unosić wdzięczny, pełen ciepła śpiew, z każdą sekundą nabierając coraz troskliwszego tonu, opatulając starca swoimi miękkimi ramionami, pozwalającymi położyć się w nich, kojąc tęsknotę za spokojem, męczącą zmęczone już ciało. Starcze oczy zamknęły się, a ciepłe letnie powietrze ustało w jego płucach.

★

## Scena 1: Riyell

Riyell zwolnił z biegu do truchtu, wypadłszy z lasu na dziwną, bagienną polanę. Dopiero teraz mógł skupić się na rozległej ranie, rozciągającej się od biodra, aż do żeber z drugiej strony. Ubranie kryjące efekt cięcia mieczem było przesiąknięte czerwoną substancją, która mimo długiego biegu, zadziwiająco powoli wytaczała się z rany. Mimo to elf czuł, że utracił jej już zbyt wiele, i nie potrafił tego przerwać w żaden sposób. Przystanął, tamując ręką odpływ krwi, i rozejrzał się wokół smutnym wzrokiem.

Przed nim roztaczała się bagnista polana, której to dziwne jeziorkowate twory natury poprzecinane były usypanymi z ziemi groblami o całkiem sporej szerokości, tworzącymi coś na kształt skrzyżowania na środku bajora. Najpewniej utworzyli je mieszkańcy okolicznych wiosek, dla których las był łatwiejszą drogą od obchodzenia go szerokim, równinnym łukiem. Wbrew bagiennnej naturze polany jednak, powietrze było tu wilgotne i rzeźkie, tak iż Riyell, wciągając je głęboko w płuca, posmutniał jeszcze dotkliwiej. Spojrzał ku horyzontowi, nad którym to krwawa luna zapowiadała nieuchronny zmierzch.

— Przyjdzie mi umrzeć w ostatnich promieniach słońca — skwitował gorzko w myślach — i to po tym, jak poczułem to ożywcze powietrze... — parsknął głuchym śmiechem nagle. „Jak żalosne jest nasze życie. Całe życie nie zauważa piękna wokół niego, a kiedy wreszcie przejrzy na oczy, śmierć dotyka go już po ramieniu. A może tylko wtedy ma się czas na odczuwanie życia, gdy za życia wiecznie smakowało się jego braku...”

Blask słońca ukrył się za drzewami po drugiej stronie polany, a ostatnie kolory zachodzącej scenerii rozświetlały leżące nieruchomo na trawie ciało.

★

### **Scena 3: Duchy Wiatru**

Suchy pył zawiał z pustyni, przynosząc ze sobą głuchy świst, potępieńczo wyjący między kolistymi, pokrytymi skórą namiotami. Nawet mimo uprzedniego zakrycia ich wejść przez mieszkańców, jęk wiatru wkradał się przez szczeliny skórzanej zasłony, służącej za drzwi, jak i plandekę na otwór umieszczony u samej góry namiotu. Niedbałe zszycia, mające na celu jedynie utrzymanie zasłony na swoim ochronnym miejscu, nie były dość szczelne, by nie zostawić szpar między materiałem. Co też władca tej suchej ziemi skwapliwie wykorzystał, wdzierając się nie swoim pędzącym podmuchem, co raczej niepokojącym zawoływaniem,

wywołującym wśród zgromadzonych w ciemnych namiotach ormathów lęk straszniejszy, niż gdyby stawali do walki z wrogim plemieniem. Lęk wywołany siłą natury, kierowaną przez nieznane im demony, które mogły tym świstem śpiewać swój upiorny hymn śmierci. Kulili się naokoło zgaszonego ogniska, spoglądając na siebie z tym prastarym, zwierzęcym przerażeniem. Ci co wytrwali modlili się cicho w swoim dziwnym języku, trzymając szare głowy między skulonymi kolanami, patrząc się w ziemistą podłogę namiotu.

Zawodzenie wiatru wdarło się również pod skórzaną kopułę największego schronienia. Tam jednak ciemność nie wypełniała pomieszczenia; w miejscu zwykłego ogniska stało otoczone zdobionymi kamieniami palenisko, większe od tych z innych namiotów, wypełnione ponadto fluoryzującymi na niebiesko węgielkami – nie palącymi się, jedynie bezgłośnie żarzącymi się na swój dziwny kolor. Klęcząc od jego wschodniej strony, stary ormath pokryty na całym ciele wzorami, na przemian krzyczał, wstając, to znów upadał na twarz, szepcząc tylko obłąkańczo inkantacje. W jego głosie czuć było drganie, jak gdyby uświadamiające mu bezsilność jego modlitw. W miarę jego niepewnie płynącego szeptu, węgielki jaśniały niebieskim światłem, przygasając w chwilach ciszy.

Gdy świst wdarł się wyjątkowo dojmująco, wypełniając wielki namiot swym dźwiękiem, zagłuszył go melodyjny skowyt starca, głośnie przebijającego się przez szum swoją desperacką pieśnią. Węgielki zaiskrzyły się nadzwyczajnym blaskiem, unosząc płomień wysoko. Szaman szarpnął gwałtownie zasłonę u wejścia, odrzucając ją ku górze, wystawiając się na szaleńczy pęd wiatru. Unosząc ręce ponad siebie, spojrzał bezradnie w stronę odległych gór. Łzy stanęły mu w oczach, porwane natychmiast przez wiatr, gdy krzyknął przed siebie donośnym głosem.

★

## Scena 2: Na Skraju (cz. I)

Heyn podszedł cicho do łóżka, widząc leżącą na boku, zwróconą do niego plecami dziewczynę. Jej ciemnobrązowe, długie włosy, rozrzucone były po całej pościeli bezładnie. Zarówno one, jak i wpadający do wnętrza blask zachodzącego na złoto słońca, kontrastowały z jej nieco bladym, nagim ciałem, jedynie delikatnie zasłoniętym w okolicy piersi fragmentem pościeli. Wyraźne kości policzkowe, drobna twarz i smutne oczy jedynie dodawały dziewczynie uroku, który dotknął Heyna w serce na równi z nostalgicznym bólem. Usiadł przy brzegu łóżka, przenosząc rękę na jej bok. Zardgała lekko, nie ruszając się jednak z miejsca. — Veronico? — elf wyszeptał jej imię, unosząc dłoń wyżej, ku jej ręce, trzymającej bezmyślnie jedyną część kołdry zakrywającej jej ciało. Zawołana znów drgnęła, tym razem odwracając głowę w jego kierunku. Wyszeptała coś ledwie słyszalnego, patrząc w jego zielone oczy, widząc w nich to, co sama przed sobą ukrywała.

Dotknęła jego dłoni, wymieniwszy z nim czuły uścisk. Heyn zdjął rękę po chwili; zaczął zdejmować koszulę i spodnie, stanowiące jego jedyne ubranie. Dziewczyna nazwana Veroniką wstała, usadowiwszy się na klęczkach, owinięta lekko do pasa kołdrą, wypuszczoną wcześniej z ręki. Jej niewinne spojrzenie podążało za kolejnymi ruchami mężczyzny, aż ten odrzucił ostatnią część ubrania, odwróciwszy się ku niej, i wchodząc na łóżko w podobnej do niej pozycji. Położył ręce na jej piersiach, czując znajomą, delikatną warstwę skóry pod palcami. Przesunął je niżej, by poczuć miękkość drobnych piersi dziewczyny, jak gdyby by zachwycić się każdą ich częścią.

— Jeżeli oboje trwamy w smutku — zaczął cicho — stańmy się jednością, jak kiedyś — Heyn zakończył ostatnie dwa słowa niemal drżącym głosem. Veronica nachyliła się gwałtownie, obejmując go, i wczepiając się ustami w jego. Elf znieruchomiał, opuściwszy ręce, czując słodycz w dotyku jej miękkich ust, i czując łzę, która nieporadnie zatrzymała się na jego policzku. Po chwili oprzytomniał, wyrывая się z bierności pocałunku, by odwdzińczyć się dziewczynie. Chwyciwszy ją za biodra, przysunął ją bliżej. Poczuł, jak nieskłonne do oporu ciało Veroniki obejmuje go w całości, jej nogi oplatają go na równi z ramionami. W tej samej sekundzie uczuł przeszywający go dreszczem ciężar, nagich ciał złączających się w absolutną jedność.

\*

#### **Scena 4: Na Skraju (cz. II)**

Kochali się do zapadnięcia tego dziwnego, jasnoniebieskiego zmierzchu, nawiedzającego od tygodnia Kontynent. Tak inaczej od swojego uczucia; niecierpliwie i szybko, próbując zaspokoić tęsknotę zaborczymi pieścizotami, gwałtownością pierwszej miłości, którą zresztą byli. Oplątywali się ramionami, wczepiając się w siebie, i tak też tańczyli na śnieżnobiałym łóżku, bezgłośnie smakując swoich ust, przeszywając swoje ciało kolejnymi drganiami pełnymi ekstazy i kojącego tęsknotę ciepła.

Wraz z kolejnymi przeblyskami błękitnego, nocnego światła na horyzoncie, oboje powoli się uspokajali, a ich ruchy z zachłannego chaosu stawały się płynne i przemyślane, by z każdą chwilą coraz bardziej słabnąć i nieruchomieć. W końcu splotli się ze sobą, i niczym spojone w jedność dwa posągi, zamarli w swojej pozycji. Siedząca na kolanach Heyna Veronika zatopiła twarz w jego długich włosach, gdy on z kolei ukrył głowę w jej piersiach, spoglądając niespokojnym wzrokiem w jaśniejący horyzont za otwartymi balkonowymi drzwiami.

Trwali tak chwilę w ciszy, wypełniając ją tylko swoimi cichymi oddechami, wciąż próbującymi uregulować swój rytm do normalnego stanu.

– Nigdy bym nie pomyślała, że po tak długiej walce, wrócimy do punktu wyjścia – wyszeptała z westchnieniem Veronika, jak gdyby chcąc wyrzucić z siebie myśl trawiącą ją od dawna – znów musimy walczyć o życie i możliwość bycia tutaj choć chwilę...

– Czyżbyś już uwierzyła w ten naiwny, utopijny świat marzeń? – zapytał bez cienia złośliwości w głosie Hayn.

– Wiem przecież, że ty też – odszeptała – nie jesteś ode mnie wiele lepszy, jedynie lepiej to ukrywasz pod swoim cynizmem wśród ludzi.

– Też prawda – głos Heyna zadrgał, jakby przerażony demaskacją – niezależnie od wszystkiego wierzyłem w osiągnięcie spokoju.

– Więc kiedy nastąpił, również wbrew wszystkiemu uwierzyłeś, że będzie trwał – dokończyła Veronika, uśmiechając się wobec swojej domyślności.

– Dokładnie tak – tym razem i Heyn odwzajemnił uśmiech, by z lęku przed demaskacją w jego głosie została tylko długo skrywana tęsknota – mimo wszystko, być może ten spokój nie zniknął na zawsze – stwierdził trochę do siebie – ostatecznie to tylko przesuwają jego osiągnięcie o kilka miesięcy.

– Cały ty – Veronika zachichotała przez ułamek sekundy – wierzysz w pewność swoich marzeń dopóki nie uderzą Cię swoją nieprawdziwością w twarz – dodała z lekkim zatroskaniem – a nawet wtedy mógłbyś udać, że tego nie czujesz.

– Ale poczułbym – ściał ją – poza tym nie powiesz, że nie mam racji.

– Tak, to prawda... – Veronika ściszyła głos – po prostu znów nie wiadomo, jak to się skończy. Boję się.

Wraz z ostatnimi słowami cisza owionęła parę, wdzierając się im do serca wraz z niepokojem, przyniesionym przez tę chwilę szczerości. Jak gdyby by odegnąć to niewygodne uczucie, Heyn, nie odrywając się nadal nawet o cal od ciała Veroniki, westchnął, by zapoczątkować dalszą rozmowę.

– "Hermain" odpływa pojutrze. Tak powiedzieli mi w porcie przynajmniej.

Veronika mruknęła cicho w odpowiedzi, co Heyn odebrał za dobry znak. Jego głos stracił wszelką irytację, i otulił ją zatroskanym ciepłem.

– Wyrobisz się?

– Muszę – Veronika pozwoliła jego pytaniu rozpuścić się po jej ciele, sama zaś wtuliła się mocniej w drobne ciało kochanka.

\*

## Scena 6: Cisza

Wąwóz Śmierci nie z niczego brał swoją nazwę. Zaczynał się niepozornie: szeroką przerwą przechodzącą przez wysokie wzniesienia. Ktokolwiek wchodził do wąwozu, czy to nieostrzeżony, czy z desperackiego pośpiechu, mógł czuć się optymistycznie i względnie bezpiecznie.



Wszystko zmieniało się jednak z chwilą dotarcia do środka. Do tej pory wysokie wzniesienia, pikowały mocno w dół – a szeroka przestrzeń między nimi, ścieśniała się do wąskiej szczeliny. To było wymarzone miejsce na pułapkę.

Grupa wozów handlowych, która właśnie przemierzała pustynię, by dotrzeć do miasta At'har, wiedziała doskonale, z czym się mierzy. Jednak objazd wąwozu zmusiłby ich do kolejnego noclegu na pustyni – a tego niecierpliwy baedoorcki kupiec by nie zniósł. Jak sam stwierdził, "chciałby sprzedać co przywiózł, i jak najszybciej spieprzać z tego przeklętego kraju".

Jego karawana wtoczyła się więc powoli, zmieniając szyk na nieco bardziej gęsty. Cisza, jaka zastała ich w wąwozie, przy cichym świcie wiatru, była niepokojąca. Konie były wyraźnie niespokojne, jednak groźba bata jeźdźcy jeszcze zmuszała je do spokoju. W miarę zbliżania się do środka wąwozu, coraz łatwiej jednak okazywały oznaki zdenerwowania, parskając czy nie trzymając tempa.

W obliczu zwężającego się środka, zdecydowano się na poruszanie pojedynczo, jeden za drugim. Kolejne wozy wjeżdżały powoli w szczelinę, co przez chwilę uspokoiło również konie. Grupę handlarzy zamykało kilku jeźdźców, będących najemną ochroną.

Świst wiatru drażnił i woźniców, i konie, brzmiąc niczym śpiew duchów, które straciły w wąwozie życie, a teraz błakają się po nim, potępieńczo ostrzegając każdego podróżnika, który tu zabłądził. Kilka razy któryś koń zrywał się gwałtownie, że potrzeba było bata, by go uspokoić.

Karawana wytoczyła się z wąskiego przesmyku, na co większość podróżnych odetchnęło z ulgą. Wszyscy mieli jednak dość tej jęczącej w sercu atmosfery, więc każdy chciał już czym prędzej mieć te otaczające wzniesienia za sobą.

– Uwaga! – ciszę wąwozu rozdarł nagle krzyk.

Woźnica jednego z końcowych wozów zatrzymał wbrew rozsądkowi wóz, wskazując ręką na tył, ku szczelinie. Przednie wozy ruszyły szybko przed siebie, inne zaś zatrzymały się, a woźnicy spojrzeli w kierunku zagrożenia z przerażeniem.

Nic jednak nie zaburzało ciszy, jaka powstała po tym krzyku, i galopie koni przednich wozów. Dało się słyszeć jedynie trzask kamieni, spadających w tej ciszy na dół wąwozu.

\*

## Scena 8: Unteupta

– Zdrowie porucznika! – zakrzyknął głośno młodzieniec, podnosząc kieliszek do toastu. W całej sali rozległy się brawa, a zaraz potem dźwięk stukania kieliszków. Zebrani jak jeden mąż przechylili je, wypijając zawartość jednym haustem, jak nakazywała starodawna wojskowa tradycja.

Sala pełna była przepychu: ściany obite tkaninami o przedziwnych wzorach wyszywanych przez saphtrijskich szewców; żyrandole konstrukcją przypominały gałęzie drzew, na których zawieszono szklane paciorki odbijające światło; salę tworzyły zaś szerokie, okrągłe stoły z hebanu, zdobione krzesła i kredensy ze starymi winami z winnic Isugi. Wnętrze sterowca „Unteupta” dobrze odzwierciedlało nastroje panujące na pokładzie.

Wracający z inspekcji wojsk cesarskich dowódcy świętowali pozytywną ocenę wystawioną swojej jednostce, a przy okazji sukces porucznika Allauta w rozgromieniu grupy rebeliantów sabotującej okolicę. Dla samego zainteresowanego to również był powód do dumy, gdyż dokonał tego posiadając zaledwie garstkę wojskowych. Ich poświęcenie jednak wyrównało szanse w walce z przeważającymi siłami buntowników.

Wnoszący toast młodzieniec był z kolei pierwszym synem głowy rodu Eiron, zwanego „szarą eminencją dworu Baedoor”. Powód wyjazdu Zaya Eiron był nikomu właściwie nieznany, lecz pośród załogi utarło się przeświadczenie, że ojciec wysłał go, by dziedzic poznał szlachetną sztukę wojskowości od środka. Zay nie musiał być nawet namawiany, bo jego zamiłowanie do szermierki znane było wśród wszystkich rodów Baedoor. Ochoczo przystał na ten pomysł, co zaowocowało trzema tygodniami spędzonymi pod namiotami, wraz z resztą cesarskiej armii. W trakcie wypadu porucznika Allauta, Zay również był obecny – i choć nie przerósł swoim wynikiem zawodowych żołnierzy, nie był również od nich gorszy. Jego chrzest bojowy był więc co najmniej bardzo obiecujący.

Teraz zaś zabawiał towarzystwo anegdotkami z dworu, które jako stały bywalec miał w nadmiarze na takie okazje. Grono dowódców zapominało o nich równie szybko, co o rocznicach swoich ślubów, a wśród nich czuł się chociaż daleko swobodniej niż w domu, gdzie wiązała go etykieta.

Sterowiec sunął nad wodami oceanu płynnie i gładko, dając dowód znakomitej inżynierii baedoorских stoczni powietrznych. Minęły dwie godziny, odkąd unieśli się znad portu Tharie, kierując się w stronę macierzystej dla nich wyspy. Kruczoczarny proporzec Dywizji Pustynnych unosił się i opadał, wystawiany na szargania wiatru.

– Obiekty na jedenastej! – zakrzyknął do lokalnego radia obserwator zajmujący przeszkolną wieżę na sterowcu. Nieznane punkty pojawiły się dopiero na horyzoncie, zbliżając jednak zaskakująco szybko. – Sygnał!

Radyjko zabuczało, sugerując decyzję dość niewyraźnie. Obiekty były już w połowie drogi, przez co zarysy były dość wyraźne, by je rozpoznać. Saphtrijskie okręty powietrzne. Osiągające niezwykłą prędkość samobójcze malizny, znane ze swej zawziętej desperacji i oddania sprawie wyzwolenia Arennan z rąk Cesarstwa.

Żołnierz zszedł półpiętro niżej, gdzie mieściła się platforma strzelecka obserwatorium, wyposażona w karabiny seryjne – najnowszy wynalazek o piekielnej cenie, jednak skuteczny równie mocno w bronienu kluczowych jednostek. Ogień odezwał się niemal równocześnie z kilku punktów artyleryjskich, rozmieszczonych

na sterowcu. Pierwsze dwa okręty saphtri zostały zestrzelone, chmury pocisków karabinowych łamały ich delikatne konstrukcje jak zapałki.

– Atak jednostek powietrznych saphtri! Prosimy zachować spokój! – można było usłyszeć na sali, na której znajdowała się jeszcze przed chwilą grupa świętujących dowódców. W tej chwili jednak każdy niespokojnie błędził po reszcie zwrokiem. Co starsi poderwali się nawet znad stołów. Do tej pory nie dochodziło do aktów takiej zuchwałości, jak atak na sterowiec wojenny. To budziło niepokój.

Zay z częścią dowódców wstał, by spojrzeć na to wszystko z przeszklonego mostku znajdującego się na tyłach sterowca. Generał Thon odważył się nawet na nieszczery żart mający podbudować morale, gdy pozostali dowódcy dziękowali reszcie za ucztę. Wyszli pośpiesznie, kierując się czerwonym korytarzem w kierunku schodów na drugi poziom.

Huk. Sterowiec zatrzęsł się, przewracając wszystkich zebranych w holu, po czym przechylił się dziobem w dół.

\*

### **Scena 10: Duch Nieskończoności**

Pustka istniała poza czasem, tak jak i poza przestrzenią. Tak więc jak i nie można powiedzieć, gdzie było „teraz” dla Eni, tak i nie można powiedzieć, kiedy ono było.

Eni wpatrywało się w zielonkawę, świecące punkciki w oddali. Wyspa, nad którą powiewała tajemnica nawet w samej Pustce. Igaad strzegł zazdrośnie swych wyznawców. Tym samym, każdy wiedział, że duchy wykonują jakieś rytuały na tej wyspie. Być może mające nawet jakiś cel. Lecz istotę tych obrzędów znali tylko oni, oraz ich niszczycielski hegemon.

Eni nie wiedziało o nich również. Wpatrywanie się służyło mu jako bezmyślna forma zabijania czasu. Płomienie świec skakały na horyzoncie, dając wrażenie tańca. Na swój sposób mogła to być prawda, choć obrzędy na wyspie były - jak to w Pustce - zupełnie pozbawione dźwięków. Jedyne energia wirowała, choć trudno stwierdzić, czy romanse atomów godne są nazywania ich tańcem.

„Czymże jest wszechświat” - ta myśl, wyrażana niemal nieustannie ze świata śmiertelników, wypełniała Pustkę swoim niesłyszalnym krzykiem.

Jak powszechnie sądzono, i zgadzała się z tym stanowiskiem zarówno nauka, jak i prawie wszystkie religie - Świat powstał z Pustki. Sposób powstania wzbudzał spory, lecz samo źródło – nie.

Czy jednak to odpowiadało na pytanie, czymże jest ten wytwór Pustki?

I przedwieczni, Niszczyciele, nie mogli wiedzieć. Czym Świat jest dla Absolutu, nie mającego nawet formy? Tenże Absolut, jeśli w ogóle mógłby się do Świata

ustosunkować, mógłby najwyżej obdarzyć Świat nieskończoną obojętnością. Twór nie mający potrzeb ni wymagań, ni aspiracji, które tak konstytuują wszak życie śmiertelne.

Eni westchnęło.

Tym samym, być może, to właśnie Śmiertelni, czynią Świat znaczącym - nie tyle na przekór bogom, co raczej zamiast nich.

★